

Gaja

Spod Tarnowskich Gór do podgłogowskiej wsi

„W pracy bądźcie cierpliwi

W modlitwie wytrwali

W nadziei weseląc się.”

Inskrypcja na tablicy pamiątkowej na mogile Ks. Kan. Bernarda Brzeskiego w Kurowie Wielkim.

Historia mojej rodziny nie jest opowieścią o bohaterach odznaczonych orderami i krzyżami zasługi, nie jest to historia ludzi wybitnych czy znanych. Jest to historia, wydawałoby się, ludzi przeciętnych. Dla mnie jednak opowieści mojej babci i jej starszej siostry (a mojej cioci) oraz mojej mamy, przywołują losy niezwykle odważnego, pracowitego pradziadka i jego oddanej żony. Jest to historia ludzi, którzy kochali ziemię, żyli blisko natury, cenili proste radości i potrafili w czasach niezwykle trudnych być dla siebie ogromnym wsparciem. Uważam, że dzisiaj, w czasach kiedy takie wartości są niewystarczająco doceniane, szczególnie wśród mojego pokolenia, powinno się o nich mówić. Z tego powodu opowiem Wam historię moich przodków.

Okres II wojny światowej był bezspornie ogromnym koszmarem. Po latach cierpienia, bólu i strat, zarówno ekonomicznych, jak i w ludziach, polskie społeczeństwo w końcu miało szansę podnieść się z kolan i rozpocząć nowe życie na ziemiach wciąż jeszcze spowitych bitewnym pyłem. Wielu obywateli skorzystało z tej okazji, migrując po terenie Rzeczypospolitej w poszukiwaniu dla siebie odpowiedniego miejsca, aby cisza i spokój przynosiły ulgę umysłowi umęczonemu okrutną wojenną zawieruchą. Motywacją do przesiedlenia się było przeświadczenie o bardziej atrakcyjnych i rozwiniętych gospodarczo terenach, przed II wojną światową należących do Niemiec. Dolny Śląsk do takich należał. Z tych między innymi powodów, moi pradiadkowie opuścili swoją rodzinną wieś Janowice, położoną w tarnowskich górach. Z terenów niezwykle atrakcyjnych krajobrazowo przenieśli się na tereny łatwiejsze do uprawy ziemi. Mój pradiadek był urodzonym gospodarzem - kochał ziemię i czerpał radość z jej uprawiania. Jednakże na górzystych terenach było jej niezwykle mało. Niewielkich rozmiarów poletka górskie były nieurodzajne i nie pozwalały utrzymać całej rodziny. Kiedy dowiedział się od sąsiadów, że w okolicach Głogowa jest pod

dostatkiem do uprawy ziem poniemieckich, podjął trudną, ale odważną decyzję o wyprowadzce.

Z chaty moich pradziadków, położonej na szczycie góry, widać było siedem zakrętów Dunajca. W okolicach tych byłam ze swoimi rodzicami dwukrotnie: kiedy miałam 7 lat (w 2012 roku) i 12 lat (w 2017 roku). Moja mama, w poszukiwaniu korzeni swojej rodziny, chciała przekonać się, czy dom, w którym urodziło się czworo dzieci moich pradziadków (Emil, ur. 1934, Zdzisław, ur. 1939, Janina, ur. 1936, Czesława, ur. 1940) jeszcze istnieje. Niestety, chata, ponieważ była drewniana, od dawna już tam nie stoi, a teren na szczycie góry porośnięty był wysokimi zaroślami - „*Nihil semper floret*”. Była to jednakże okazja do odnowienia kontaktów z potomkami naszej rodziny, mieszkającymi nieopodal, stąd nasza kolejna wizyta po pięciu latach.

Czas II wojny światowej był dla moich pradziadków bardzo dużym wyzwaniem. Pradziadek Jan, za z pozoru niewinne przewinienie - przywłaszczenie bochenka chleba (a pamiętajmy, że w domu było czworo małych dzieci) - był ścigany przez władze niemieckie. Uciekał przed policją niemiecką dwukrotnie (ostrzeżony przez dobrych ludzi – sąsiadów - ze wsi), aż w końcu postanowił uciec na roboty do Niemiec. Prababci Stefanii grozono zamknięciem w więzieniu za uczynek jej męża, więc z ciężkim sercem podjęła decyzję o dołączeniu do pradziadka Jana. Decyzja musiała zapaść nagle i szybko - sytuację tę pamięta siostra mojej babci, która miała wtedy niecałe cztery lata. Cioci Czesi utkwiło w pamięci, że niemiecki policjant bił jej babcię Antoninę i karmił za to, że pomogła córce Stefanii uciec przez okno do lasu. To dla mnie niezwykle przejmujące, że dziś osiemdziesięcioletnia ciocia Czesia pamięta traumę sprzed siedemdziesięciu sześciu lat.

Moja prababcia Stefania zostawiła troje z dzieci ze swoją mamą, a jednego syna u brata pradziadka - Franka. Czasy wojenne były pełne wyrzeczeń i wyzwań także dla małych dzieci. Brat mojej babci - Emil, wspominał pobyt u swojej babci jako niezwykle trudny. Z powodu niedostatku mógł chodzić w butach do kościoła jedynie co drugą niedzielę, dzielił je bowiem ze swoim kuzynem Władkiem. Po zakończeniu wojny pradziadkowie powrócili do swoich dzieci i rodziny w Tarnowskie Góry.

W 1945 roku moja prababcia Stefania (ur. 1911 r.) i mój pradziadek Jan (ur. 1901 r.) przybyli towarowym wagonem kolejowym do stacji Nosocice. Niestety, pociągi nie dojeżdżały wtedy do Głogowa, ponieważ to piękne i historyczne miasto zostało zniszczone podczas wojny w ok. 90%. Przeprawili się oni przez Odrę łódką i przebyli pieszo ponad 20 kilometrów do wsi Domaniowice. Moja prababcia zabrała ze sobą kury, ponieważ obawiała się głodu. Z tą historią wiąże się inna, zabawna i powtarzana w naszej rodzinie anegdota, dotycząca mojej babci. Wiele

lat później, w 1979 roku, moja babcia Mila, przeprowadzając się ze wsi Domaniowice do miasta Głogowa, także zabrała ze sobą... kury!

Moja babcia z nostalgią opowiadała mi o losach rodziców, sióstr i braci oraz o tym, że gdy przybyli do Domaniowic, zaskoczeniem i nowością były dla nich murowane budynki. W Tarnowie mieszkali w pięknym, lecz drewnianym domu, który nie był oznaką statusu. Gdy przyjechali do dolnośląskiej wsi, szybko zorientowali się, że na polach rosły jeszcze zasadzone, przez poprzednio zamieszkujących te tereny Niemców, rośliny uprawne, takie jak chociażby ziemniaki. Musiało to być zatem późną wiosną lub wczesnym latem. Moja prababcia Stefania długo przekonywała się o tym, że wynik wojny nie był jeszcze przesądzony i obawiała się powrotu Niemców na swoją ziemię. W gospodarstwie, które zajęli, pozostało bardzo wiele wyposażenia domowego - przyrządów, narzędzi gospodarczych, naczyń, maszyna do szycia Singera, a w stodole stała zadbana bryczka. Do dzisiaj w naszym salonie stoi pamiątka po poprzednich właścicielach majątku w Domaniowicach - secesyjna misa z masy perłowej, którą moja mama otrzymała od mojej babci w prezencie. Moi pradziadkowie mieli odmienny stosunek do organizowania życia codziennego w nowym gospodarstwie. Moja prababcia, nauczona doświadczeniami wojennymi, uważała, że za wcześnie na jakiegokolwiek inwestycje. W zupełności wystarczył jej ten własny kawałek ziemi, parę morgów, które przy odpowiedniej opiece mogłyby jeszcze służyć kolejnym pokoleniom. Mój pradziadek gotowy był jednak do podejmowania ryzyka, dostrzegał niezliczone okazje, by powiększać morgi w hektary. Moja babcia często wspomina z czułością o tym, jak ten pracowity człowiek wstawał o świcie i pracował w polu aż do późnego wieczora, przekonany, że ten wysiłek w upalne letnie dni kiedyś przyniesie obfite plony.

Moja babcia wspominała także ciepło czasy, gdy większość produktów spożywczych uzyskiwało się własnoręcznie, a w sklepach nie było wielu wyrobów. Jej starsza siostra Janka, często siadała na stołku przy maselnicy, unosząc i opuszczając tłuczek, aby ze śmietany tworzyły się drobne grudki masła, które następnie można było zebrać łyżką i uformować w oselkę. Podobnie było z mięsem, które zazwyczaj suszono i wędzono przez około tydzień, a następnie kroilo i rozkładało na stole, aby każdy mógł spróbować chociaż kawałek. Dzięki tej procedurze szynka nabierała niepowtarzalnego aromatu, z którym wielu starszych ludzi kojarzy swoje dzieciństwo.

Miejscowość, do której przeprowadzili się moi pradziadkowie, wcześniej nazywała się Domagnewitz, a za czasów przedwojennych Mangelwitz. Zaraz po wojnie wszedł obowiązek wprowadzania nazw polskich na bazie tych sprzed 1937 roku i w ten sposób Mangelwitz zamieniono na Magłowice (obecnie Domaniowice). Moi pradziadkowie długo mówili o swojej

miejsowości Magłowice, ale moja babcia, która urodziła się w 1948 roku na Ziemiach Odzyskanych, mówi o tej miejscowości, jak większość jej mieszkańców, Domaniowice. Mój pradziadek jeszcze przed przeprowadzką wybrał odpowiednie gospodarstwo w tej miejscowości. Jednakże po przybyciu z bliskimi na miejsce, okazało się, że wprowadziła się tam już inna rodzina. Pradziadek postanowił wybrać tę wieś z tego powodu, iż tylko w niej ocalał działający młyn. Wszystkie inne w pobliżu zostały zniszczone w wyniku działań wojennych. W miejscowości tej znajdowało się wiele pamiątek historycznych i kulturowych, lecz niestety celowo je niszczone jako świadectwo wcześniejszej obecności Niemców. Uzyskanie ciekawych informacji na ich temat wiąże się nieraz z bardzo dużym wysiłkiem i determinacją. Moja mama, która urodziła się w Domaniowicach, wykazuje duże zainteresowanie historią tej ziemi. Wiosną 2021 roku nawiązała e-mailowy kontakt ze siostrzeńcem proboszcza plebanii w Kurowie Wielkim, do której należy wieś Domaniowice. Z księdzem Bernardem Brzeskim związana jest niezwykła historia. Był on niemieckim księdzem na plebanii w Kurowie Wielkim, kiedy wybuchła II wojna światowa. Po jej zakończeniu duchowny zdecydował się przyjąć polskie obywatelstwo i zmienić swoje nazwisko, aby móc pozostać proboszczem na tej plebanii przez kolejnych ponad trzydzieści lat, aż do ostatnich swoich dni. W ten oto sposób ksiądz Bernhard Joseph Breske został księdzem Józefem Bernardem Brzeskim. Zdobył przychylność moich pradziadków, którzy doceniali w nim powołanie, mądrość i pracowitość, a mój pradziadek szczególnie cenił u księdza bliski kontakt z naturą, szacunek dla przyrody i zaangażowanie w uprawę ziemi i sadu przy plebanii. „Początki były najgorsze.” - rzekła starsza siostra mojej babci, Czesia, gdy zadzwoniłam do niej, ciekawa historii naszej rodziny. Były to słowa, które zachowałam w pamięci. Wydaje mi się, że w dzisiejszych czasach, szczególnie moim rówieśnikom, trudno jest wyobrazić sobie, jak kiedyś wyglądało życie. Na co dzień używamy niezwykłych wynalazków i jesteśmy w stanie skomunikować się z praktycznie każdym, nawet, gdy żyje on na drugim końcu świata - dosłownie i w przenośni. Osiągnięcia te przyspieszają postęp technologiczny, uważam jednak, że sprawiły też, że trudniej jest nam zachować stabilne i bliskie relacje. Nie potrafimy już trzymać się razem w takim stopniu, jak przed wielu laty. Wiem, że sporą ulgą dla mojej babci była świadomość, że nie ważne co by się stało, zawsze może liczyć na swoją rodzinę. Trudne doświadczenia oraz wyzwania spajają i pogłębiają więzi rodzinne. Nowe okoliczności wymagały radzenia sobie z nieprzewidywanymi sytuacjami. Gdy nie wystarczało, na przykład funduszy na zakup konia, który pomógłby na roli, trzeba było przystosować się do takich warunków i zamiast tego zaprzęgnąć do pracy krowę.

Rozpoczynanie życia od nowa na Ziemiach Odzyskanych wiązało się z dużą determinacją i zaangażowaniem, szczególnie mojego pradziadka Jana. Wszyscy w rodzinie wspominają go jako człowieka bardzo ambitnego i kochającego naturę. Jako anegdota krąży w naszej rodzinie opowieść o braku akceptacji mojego pradziadka dla mojego dziadka, który urodził się i wychował w mieście. Z tego powodu nie potrafił właściwie obchodzić się z ulubioną kosą i osełką mojego pradziadka, za co karcony był wyzwiskiem: „*Ty gulonie miastowy!*”. Moim zdaniem, szacunek dla wartości wyznawanych przez mojego pradziadka przejawia się także w sukcesji nadawania imienia Jan w naszej rodzinie. To imię posiada syn mojego pradziadka - mój wujek Jan (ur. 1950 r.). Jego syn, a kuzyn mojej mamy także ma na imię Jan (ur. 1986 r.). I kolejny potomek w ich rodzinie, urodzony w 2016 roku, to też Jan. Wszyscy oni mieszkają do dzisiaj w Domanowicach.

Moją uwagę często przyciąga sposób wyrażania się mojej babci Emilii, a nawet niektóre sformułowania mojej mamy. Dziś wiem, że są to elementy gwary małopolskiej. Kiedy pytam o nie moją babcię, przywołuję niezbyt pozytywne wspomnienia z czasów jej wczesnej młodości. Moja babcia nie zdawała sobie sprawy z tego, że w jej języku dominują regionalizmy wyniesione z domu rodzinnego, spod Tarnowskich Gór. Wspomina, że była często karcona i poprawiana w liceum, a przez rówieśników nieraz wyśmiewana. Pamięta, że jej mama, korygując zachowanie mojego wujka Jana, a brata babci, krzyczała do niego „*Ty huncwocie!*”. Na porządku dziennym w domu w użyciu była gwara krakowska, między innymi „*hamrać*” (sprzeczać się), „*żerdka*” (gałąź), „*facyjot*” (małe okienko, przybudówka), „*zemuć*” (zdjąć), „*z kraja*” (z brzegu), „*zmierzły*” (przykry), „*ino*” (tylko), „*zawczasu*” (za wcześnie), „*w tę i we w tę*” (w tą i z powrotem), „*warzyć*” (gotować). W języku moich pradziadków występowały też często zapożyczenia z języka niemieckiego. Mogli się nimi posługiwać podczas pobytu w Niemczech w czasie wojny, np. „*winkiel*” (róg) czy „*wihajster*” (przedmiot, którego nazwy się zapomniało). Słowo, które szczególnie przypadło mi do gustu, to „*pularys*” (portfel). Moi pradziadkowie o podwórzu mówili „*pole*”, ale już moja babcia, używała tego określenia tylko dla gruntów ornych. Do dzisiaj moja mama, kiedy nie chce, aby mój tata ją drażnił i trącał, mówi do niego „*Nie zygaj mnie!*”.

Dzięki poświęceniu i pracy moich pradziadków, ich dzieci były w stanie wyrosnąć na porządnych ludzi i doświadczyć kluczowych momentów młodości. Przesiedlenia Niemców zakończyły się w 1949 roku, a tereny Dolnego Śląska opuściło ich aż pół miliona, co sprawiło, że polskie rodziny czuły się o wiele bezpieczniej i zaczęły tworzyć własne społeczności. Wojna nie rozpoczęła się na nowo, i pomimo obaw, ludność powoli zaczęła się otwierać na nowe doświadczenia, cieszyć życiem i błogim smakiem wolności. Na Ziemiach Odzyskanych

urodziła się moja babcia Emilia i jeszcze dwoje jej rodzeństwa, brat Jan (ur. 1950 r.) i siostra Danuta (ur. 1946 r.). Zaczęto organizować radosne wesela, spotkania i zabawy, komunie i chrzciny, a niektóre dzieci, jeśli miały na tyle szczęścia, zaczęły również chodzić do szkół - między innymi moja babcia, która uczęszczała do szkoły podstawowej w Brzegu Głogowskim. W nowych miejscach tworzą się nowe wspomnienia, jednakże te przekazywane młodszym przez starsze pokolenia już na zawsze pozostaną kultywowane w naszych sercach i pamięci.



Fot. 1. Praprababcia Antonina Sęk z dziećmi córki Stefanii przed domem w Janowicach (ok. 1944 rok)



Fot. 2. Dom pradiadków w Domanowicach



Fot. 3. Moja Babcia w dzień swojej Pierwszej Komunii Świętej
(1956 rok)



Fot. 4. Miejsce na szczycie góry pozostałe po domu pradziadków w Janowicach
(2012 rok)